

Andrzej Miłowski

Pisarze angielscy o Kryzysie

Londyński miesięcznik literacki „The Bookman” ogłosił w majowym numerze wyniki ankiety pod tytułem „Artysta, a świat dzisiejszy”, w której zabrali głos przedstawiciele świata literackiego Anglii. Ankieta składała się z następujących trzech pytań:

1) Czy może pan jako człowiek uznać dzisiejszy stan rzeczy, nawet w naszym kraju, jako w całości swej nieznośny dla ludzi?

2) Jeżeli nie, czy może pan jako artysta zachować obojętność wobec tego stanu rzeczy?

3) Jeżeli pan nie może, jakby pan zdefiniował poprostu, w paru słowach, możliwość zastosowania swej sztuki do istniejących warunków?

W ankiecie wzięło udział osiemnastu pisarzy, przeważnie zresztą w Polsce nieznanymi. Współczesna angielska literatura jest poza zasięgiem naszych wiadomości. Dotąd jeszcze uważamy Shawa za produkującego pisarza swego kraju, gdy w Anglii nikt już nie zwraca uwagi na jego kazań. Dotąd podniecamy się rewolucyjnością starego burżuazji Wellsa i „największego pisarza Anglii” — jak go u nas nazywają — nieboszczyka Galsworthy’ego.

Lawrence zajął do nas na chwilę jako „Kochanek Lady Chatterley”; debiut był nieszczęśliwy, bo go skonfiskowano i na tem się też skończyło. Nowele „England, My England” przeszły bez wrażeń. Kiedy je przetłumaczono, nie wiedziiano jeszcze, że Lawrence jest pisarzem „śmiałym”. Z naprawdę współczesnych ciężar reprezentowania najbogatszej obecnie literatury na świecie spadł na barki jednego Aldousa Huxleya, intelektualisty i ironisty, krytyka współczesnej Anglii i to tego, co w niej najmniej angielskie — inteligencji.

Tymczasem mamutów i propagandzistów nie zaproszono do wzięcia udziału w ankiecie. Autor jej, Geoffrey West, pisze, że nie interesowało go zdanie tych, którzy, jak Wells, Shaw, setki razy bezpośrednio się na te tematy wypowiadali; ani też tych, którzy stale, jak Huxley, propagują w swych dziełach pewne idee i w ten sposób zapoznają ogół ze swymi poglądami. Ci nie mogliby powiedzieć nic nowego. Ciekawe natomiast będzie dowiedzieć się, co sądzą o tych sprawach ci, którzy nie piszą społecznych powieści, ani utopij i są poprostu artystami.

Odpowiedzi też przyniosły sporo interesującego materiału. Dwoje tylko zapytanych odmówiło zdradzenia swego stanowiska. Jeden, to nasz znajomy, Somerset Maugham, który wypowiedział się z charakterystycznym cynizmem:

„Dlaczego zawodowy pisarz, który piórem zarabia na życie, miałby wo-

łać, że rzeczy, o których pisze, śmierdzą?”

Z innego powodu nie wypowiedział się Margaret Kennedy:

„Nie lubię obecnego zwyczaju traktowania powieściopisarza jako jakiegoś amatora — kuznodzieje, ekonomista, czy filozofa. Możliwe, że znajduje się jeden, czy dwóch pisarzy, których poglądy na naszą ogólną strukturę społeczną są godne uwagi, ale jeżeli chodzi o ogromną większość, do której i ja się zaliczam, rzecz się ma inaczej”.

W stanowisku tem jest wiele racji. Często prawdziwy artysta bardzo kiepsko osądza sytuację polityczną, czy nawet kulturalną. Talent nie zawsze idzie w parze z intelektem, a nawet rozumem, jak nieraz mamy możliwość się przekonać. Widać to zresztą i z szeregu odpowiedzi omawianej ankiety.

W dość interesujący sposób różni się między sobą sądy tych, którzy na pytania odpowiedzieli. Jeżeli chodzi o ocenę istniejącego stanu rzeczy, mamy tu całą skalę różnych sądów: A więc z jednej strony stoją optymiści, jak znany w Polsce Hugh Walpole, Clifford Bax i R. H. Mottram, którzy twierdzą, że nigdy jeszcze nie było tak dobrych warunków, jak obecnie, a w obecnej sytuacji nigdzie nie jest tak dobrze, jak w Anglii. Z drugiej strony jest obojętność pesymistów — o wiele większa, bo grupujący osiem nazwisk. Ci stanowczo odpowiadają, że warunki są nieznośne, jednakże z różnych punktów widzenia, jak później zobaczymy. Pośrodku stoją umiarkowani, którzy bądź dyplomatycznie odpowiadają, że sytuacja widocznie jest znośna, skoro ją znosimy (Forrest Reid), bądź, że nigdy nie ma takiej sytuacji żeby istniejący stan rzeczy był w całości nie do zniesienia (Rhys Davies, William Gerhardt, Dorothy Richardson). Zawsze istnieją szczęśliwi, obok nieszczęśliwych. Wreszcie Charles Morgan odpowiada, że warunki zewnętrzne są, rzecz obojętna. Jedyną wagę mają nieprzemijające rzeczy ludzkie: miłość, poezja, kontemplacja i śmierć, a te są niezależne od takiego, czy innego stanu rzeczy. Istnieją zawsze.

To stanowisko jest charakterystyczne i, choć przez nikogo innego tak skrajnie nie wypowiedziane, dzieli wszystkich biorących udział w ankiecie na dwie wyraźne grupy. Punkt ciężkości światopoglądu pisarzy leży nie w pierwszym pytaniu, tylko w drugim i trzecim, które zawierają kwestię stosunku artysty, jako twórcy i jego sztuki do życia. I tu dają się wyróżnić właśnie owe dwie grupy, dwa obozy stojące na stanowiskach odmiennych, między nimi zaś oboz umiarkowanych, a właściwie obojętnych. W nim są „apolityczni”, ci, którzy uważają, że przedmiotem sztuki jest nie życie, tylko piękno i je-

dynem zadaniem artysty jest jego sztuka. Do tych należy dramaturg i powieściopisarz A. A. Milne. Pisze on, że sztuka wymaga skupienia, a sprawy bieżące zbyt rozpraszają pisarza. Dlatego też, pracując nad swymi dziełami od szeregu miesięcy odciął się zupełnie od spraw bieżących i ma zamiar tę politykę życiową kontynuować.

„Sztuka jest świadectwem świętości ducha indywidualnego i świadectwo to bardziej jest potrzebne dziś, niż kiedykolwiek”.

Hugh Walpole pisze, że zadaniem sztuki jest tworzyć dzieła nieprzemijające, a nie służyć jednej epoce. Dlatego artysta nie może być propagatorem, nie mo-

że też jako artysta interesować się specjalnie jakimś przemijającym zagadnieniem zewnętrznym politycznym, czy społecznym.

Ci jednakże są w mniejszości. Większość stanowią artyści zajmujący aktywną postawę w stosunku do bieżącego życia, którego część stanowią, świadomi swojej roli w tem życiu. I tu wyróżnić można dwa zasadniczo różne punkty widzenia, dwie zasadnicze postawy. Zaryzykowałbym twierdzenie: starą i nową, choć oczywiście ta nowa jest najstarsza, tylko na przestrzeni jednego pokolenia częściowo zapomniana, a w każdym razie usunięta w cień. A więc z jednej strony stają

„społecznicy”, „politycy”, którzy chcą przebudowywać świat — budować nowy porządek — wychowywać człowieka przyszłości — pracować dla ludzkości. Sami zaś są wychowankami szkoły H. G. Wellsa i innych jeszcze szkół, których sam Wells jest wychowankiem. Cechuje ich postawa „ogólnoludzka” — „wszechświatowa” — „humanitarna” — i tak dalej.

Do tych należy przedewszystkiem J. D. Beresford, który pisze: „Uważam, że obecny stan rzeczy jest nie do zniesienia, jako mechaniczny, rządzone przez inteligencję skierowaną ku egoizmowi, lub zaspokojeniu żądzy władzy. Obecnie tendencje te jeszcze się zaostrzają przez ową masową sugestię, która jest narzędziem faszyzmu, hitleryzmu i bolszewizmu”.

Wierzy, że obecny stan rzeczy jest punktem kulminacyjnym kryzysu, a po straszliwej wojnie europejskiej, która niedługo nastąpi, ludzkość zrobi wielki krok naprzód w swym rozwoju i człowiek uzyska pełną władzę nad duchem i ciałem. Drugi z tego obozu — Gerald Bullett — pisze, że sztuka może sprowadzić „zmianę w sercu” człowieka, która sprawi, że zrozumiemy on nareszcie wspólny interes ludzkości. Albowiem nie brak inteligencji, czy wiedzy nie pozwala nam na wkroczenie w nowy wiek złoty, ale brak odwagi cywilnej, egoistycznej a chciwości i brak rzetelności duchowej. Problemy pokoju międzynarodowego i sprawiedliwego rozdziału własności dałyby się rozwiązać, gdybyśmy wszyscy mieli dobrą wolę. Pomóc w tem dziele może sztuka.

Do tej samej szkoły należy niewątpliwie Louis Golding, choć stwierdza, że sztuka nie może być narzędziem propagandy, bo nie jest tworzona świadomie. Jednak w odpowiedzi jego na pierwsze pytanie ankiety odnajdujemy ten sam patos deklamacji, znany nam skądinąd:

„Równie nie do zniesienia jest dla mnie pustota w Cardiff, jak w Dortmundzie, czy w Osace. Tragedja leży w tem, że samo ciągłe znoszenie cierpień wytwarza w nas gruboskórność tolerancji, które, choć krzyk, nie zagrażają istnieniu systemu”.

Ciekawe jest zestawienie tego ostatniego sądu z wypowiedzią w tej samej sprawie przedstawiciela drugiego punktu widzenia, Williama Gerhardt’a:

„Gdybym miał myśleć o wszelkim cierpieniu, jakie istnieje na świecie i uważał za swój obowiązek leczenia go, nie byłbym nigdy w stanie spać spokojnie. Ale nie wie się o wielu rzeczach i próbuję się nie myśleć o nich. Ograniczam się więc do tych, którzy znajdują się w moim najbliższym sąsiedztwie i to tylko do tych, którzy wzbudzają we mnie jakieś uczucia. Na nieszczęście w Chinach patrzę spokojnie, w nadziei, że są tam na miejscu Chińczycy, pragnący pomóc tym, z którymi są związani węzłami miłości, przyjaźni, czy pojęciem naturalnego”.

„Cóż za barbarzyństwo! — wy-

krzyknie niewątpliwie p. Golding, czytając te słowa. Jednakże patrząc spokojnie na całą sprawę, trudno mu przyznać rację: on „cierpi za miliony”, a nadmiar cierpienia tak go znęca, że przestaje cierpieć wogóle, chyba, że jego bezpośredni interes jest zagrożony. Gerhardt cierpi, widząc nieszczęścia tych tylko, których kocha. Ale przynajmniej nietrudno nam wierzyć, że cierpi naprawdę.

Podobne jest ustosunkowanie się tych, którzy mają ten sam, co Gerhardt, punkt widzenia. Tu najwyraźniejsze stanowisko zajmuje Claude Houghton. Według niego obecny stan rzeczy jest nie do zniesienia i artysta nie może pozostać wobec niego obojętny.

„Wiem — pisze — że dziś wielu ludzi mogłoby powiedzieć: Komu u diabła potrzebny dziś artysta? Ludzie nie mają co jeść, nie pracują i mieszkają w norach. Precz ze sztuką! Dajcie nam chleba! Odpowiedź moja jest taka: Kiedy ludzie mają co jeść, pracują, porządnie mieszkają, problem życiowy dopiero się zaczyna. Czy byłoby to coś takiego wielkiego z wszystkich ubogich zrobić nędznych? Cóż kiedy ludzie tylko bogaci również „nie mają co jeść” i „mieszkają w norach”. To, co wybawi ubogich od ich ubóstwa, wybawi również bogatych od bogactwa. Wierzę, że sztuka jest wielkim czynnikiem w tem dziele”.

Zadaniem sztuki — jest zajmować się wielkimi rzeczami ludzkimi — pisze Charles Morgan. Nawet największe społeczne nieszczęścia nie są jeszcze nieszczęściami największymi — pisze Geoffrey Dennis. — Tragedja człowieka leży w dualizmie zła i dobra w jego duszy i walce tych dwóch czynników, której jest ofiarą. Ta wielka tragedia jest przedmiotem sztuki. — Sztuka ma wielkie znaczenie, kształtując w ludziach pierwiastek „niewinności” — pisze Dorothy Richardson.

W tych słowach jest wołanie o powrót do wielkich prawd, wielkich zagadnień, wielkiej sztuki. Sztuka nie powinna służyć propagandzie podwórkowych haseł, ale wnikać w najgłębsze problemy życia człowieka. Najgłębsze i największe. Nie konflikt między kompleksem X. a kompleksem Y, ale wielka tragedia zmagania się dobra i zła, miłości, obowiązków, poświęcenia, śmierci, bohaterstwa, wszystkie te problemy odwieczne, a zawsze nowe, są przedmiotem prawdziwej sztuki. Wyrastają na podłożu każdego warunków ekonomicznych i społecznych, w każdym narodzie i w każdym przybierają inne postacie. Wielkość ich zaś leży w ich prawdzie. Prawdziwa jest miłość do tych, których widzimy i znamy, a kłamie ten, który mówi, że jednakowo patrzy na nędzę w Cardiffie i Tokio. Chyba, że nazywa się Louis Golding — czy też Lewi Goldman.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACJI KSIĘGARSKICH

BEKIER J. KS.: Dzień matki. Materiały na wieczornicę czerwono-kręską dla kół młodzieży. 8° str. 48. Kalisz 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.—.

BUKOWSKI M. PROF.: Wypracowania z literatury polskiej. Cz. III. Młoda Polska. 8° str. 58. Łódź 1934. A. F. Mittler. Zł. 1.20.

CZERWIŃSKI S. I. PRZYJEMSKI: Prawo karne w świetle orzecznictwa 1.VII.1933 — 1.IV.1934. 8° str. 84. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.50.

DOBACZEWSKA WANDA: Zwycięstwo Józefa Żołądzi. 8° str. 349. Wilno 1934. Zawadzki. Zł. 4.—.

GOLDING L.: Ulica Magnoliowa. Powieść, z ang. przełożyła R. Centnerszwerowa. 8° str. 400. Warszawa 1934. „Rój”. Zł. 3.—.

HEIMAN-JARECKI A. I LAUTERBACH ST.: Przemysł anonimowy. 8° str. 72. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.—.

HOENE-WRONSKI: Propedeutyka mesjanizmu. Cz. I. Przełożył C. Jastrzębiec-Kozłowski. 8° str. 47. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.—.

JUNOSZA-SZANIAWSKI WL.: Ogień światem. Obrazek sceniczny w 1 akcie. 8° str. 48. Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.30.

KOMOROWSKI WIKTOR: Tabela składek za ubezpieczenia społeczne w świetle ustawy z dn. 25.III.1933. 8° str. 19. Siedlce 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.—.

KULIGOWSKI F. KS.: Czeskie Najświętszemu Sercu Jezusowemu. Krótkie czytania czerwcowe. 8° str. 120. Płock 1934. Bracia Dąbrowscy. Zł. 1.—.

LOTHAR ERNEST: Młyn sprawiedliwości. Powieść. Przekład M. Tarnowskiego. 8° str. 364. Warszawa 1934. J. Przeworski. Zł. 6.—.

LAKOMY Z.: Obrazki z powstania górnośląskich. 8° str. 75. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 0.90.

MASNY IGNACY DR.: Rozważania ekonomiczne. Kryzysy, przełomienie, pieniądź. 8° str. 25. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.50.

MROOZEK W. Z.: Z życia szkoły. 8° str. 45. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.—.

PĄCZEWSKI LEON DR.: Przebudowa korporacyjna Italji. 8° str. 91. Warszawa 1934. Dom Książki Pol. Zł. 2.50.

PLUCIŃSKI MIECZ.: Budowa kajaków. Kajak żaglowy „P 7”. Opis i rysunki. 8° str. 22. Warszawa 1934. Gł. Księgarnia Wojskowa. Zł. 1.50.

ROMAŃSKI M.: Sprawa Nr. 777. Rena. Powieść. 8° str. 254. Warszawa 1934. S. Cakrowski. Zł. 6.—.

ROSSET E.: Estonia w przeszłości i w teraźniejszości. Odczyt. 8° str. 24. Łódź 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.—.

SALIT S. INŻ.: Kolonia Izaaka. Wieś powiatu sokólskiego. 8° str. N. 104, 2 tabl. i tabela. Warszawa 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.50.

Siedem opowieści. Cykl nowel z życia żołnierskiego z 17 rys. A. Horowicza. 8° str. 161. Warszawa 1934. Gł. Księgarnia Wojskowa. Zł. 2.50.

STIEBER Z.: Stosunki pokrewieństwa języków żydzyckich. 8° VII str. 98 z 5 mapkami. Kraków 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 6.—.

Wpółomulstwo w świetle encyklopedji. Wypisy. 8° Warszawa 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 5.—.

JESZCZE JEST NA SKŁADZIE
rewelacyjna książka
Stefana OSSOWIECKIEGO
p. t. „Świat mego ducha
i wizje przyszłości”
CENA 10 ZŁ.

Adam Czartoryski

z Rokosowa

Wsi spokojna, wsi wesoła...*)

Wstał śliczny dzień czerwcowy nad Głodową Wólką. Niebo bez chmurki zapowiadało czas pogodny, a nawet upalny. Podwórza zapachniały woń akacji, kwitnących jasno-różową ścianą od strony parku i śpiew trzecz, czy nawet czterech słowików, urządzających swój koncert od samego świtu.

Nastroje mieszkańców dalekie były od tego sielskiego obrazu. Jakby nie widząc piękna otaczającej natury, wszyscy byli w złych humorach. A mieli też o co! Robotnicy, niewypłaceni od szeregu miesięcy, szemrali głośno przeciw dworowi. W najmniejszych opalach znajdowała się administracja majątku. Pan Sikora, tytułujący się „dyrektorem”, grał na zwłokę przez całą zimę i wiosnę i utrzymywał ludzi w karbach, używając raz wybuchu gniewu, to prób, to solennych obietnic, nigdy niedotrzymywanych: wszystkie te środki wyczerpały się obecnie i dyrektor nie pokazywał się przy ludziach, nie chciał narażać na szwank swej powa-

gi. Cały ciężar bezpośredniego kontaktu spadł na barki praktykanta, pana Sardacza, studenta z Dublan. Twarda rzeczywistość odrzucała go od ukochanych doświadczeń głośniejących i zmusiała do ścierania się z niezadowolonymi robotnikami. Niemniej cierpiała nasjerką, panna Emma. Od jesieni przeszła ona niezliczoną ilość wizyt książek i kasy, musiała podpisać tyle protokołów i złożyć tyle zaprzeczeń w miejsc przysięgi, że była stale zdenerwowana; gdy tylko połyssała warkot motoru, zdawało się jej, że znów jedzie komornik i musiała brać środek uspokajający. Ogólny niepokój nie oszczędzał i najwyższego stopnia hierarchii wsielskiej, t. j. dworu. Najmniej oczywiście cierpiał s. p. Hipolit Węgorzewski, który z całym egoizmem, do jakiego tylko mężczyźni są zdolni, przeniósł się na tamten świat w końcu r. 1930, akurat na samym początku kryzysu. Odszedł, unosząc niekłótną opinię „dzielnego fachowca, niestrudzonego pioniera oświaty zawodowej wśród naszego ziemiaństwa”, jak pięknie ktoś napisał w „Dzienniku”. Chcielibyśmy widzieć

jego fachowość dzisiaj! Tak mrucał pan Antoni Węgorzewski, bratanek zmarłego, borykający się od roku z pozostawioną spuścizną. Pomruki te wywoływały oburzenie wdowy, pani Klementyny, która nie pozwalała wyrażać się źle o ukochanym Hipcieu.

Tego ranka dziedziczka weszła do gabinetu i rzuciła okiem na biurko: stos protestów wekslowych, pozwów sądowych i innych nieprzyjemnych papierków leżał nieruszony od wczoraj.

— Marcinie! Dzieńcie nie wrócił? — Jeszcze nie, proszę Jaśnię Pani — odpowiedział służący.

— Mój Boże, co też ten Antos wyprawia! Już tydzień jak wyjechał i nie daje znaku życia. I to kiedy? Gdy skwestator nie wychodzi prawie z podwórza. Inaczej Hipcio gospodarował, inaczej, siedział w domu, po sądach się nie włóczył!

Dźwięk dzwonka na podwórzu, oznajmującego śniadanie, przerwał jej rozmyślanie. We dworze też podano kawę. Naraz przez okno doszedł zgiełk licznych głosów: najpierw zbiorowy szum, potem pojedyncze klątwy i wyzwiska. Przypominało to głosy za seną w teatrze markujące obecność wzburzonego tłumu w sztukach rewolucyjnych. Ale pani Klementyna dawno już w teatrze nie była, przyjąłoważ zata parę razy robotników, dopominając się o należności, toteż odgadła od-

razu naturę tych odgłosów.

— Niechno Marcin zobaczy, co się tam znowu dzieje!

Wzawa uciecha równie szybko, jak była wybuchła, a Marcin wrócił po chwili.

— Przyszli o pieniądze do pana dyrektora. Jeśli dziś nie dostaną, to nie pójdą więcej do roboty. Pan dyrektor kazał im przyjść na południe.

Przed kasą stał pan Sikora w towarzysze praktykanta. Dyrektor pogwizdywał tak niefrasobliwie, że Sardacek nie mógł wstrzymać się od pytania:

— Ta i cóż, że poszli, panie dyrektorze, ta na południe także nie będzie pieniędzy!

— O dziewiętej rano się martwić, co będzie na południe! Też sobie znalazł kłopot! — zawołał dyrektor — pamiętaj pan moje powiedzenie: ino przeciągnąć, ino przeciągnąć!

Sardacek wzruszył ramionami i poszedł do buraków: nie rozumiał takiej filozofji, tego nie uczono w Dublanach!

Dyrektor odebrał parę telefonów, obszedł śpielnierz (pszenica zajęta przez Kasę Chorych) i warsztat (traktor obłożony arestem przez Ubezpieczalnię Krajową, z którą negocjuje się firma Zjednoczone Grajarki, mające na tymże traktorze ustawowe prawo zastawu spowodu niezapłaconej ostatniej raty), zajął do chlewów (licytacja przed ty-

godniem odroczonego spowodu podejrzenia czerwoni), obszedł resztę gospodarstwa i wrócił do kasy.

— Stachu!!! — zagrzmiął, aż echo odpowiedziało w podwórzu — bryczkę podawaj! Trzeba raz zajrzeć w pole.

Ala w chwili, gdy bryczka stanęła przed kasą, zabrzmiiała wesoła trąbka, i szara podłużna limuzynka zatrzymała się na środku podwórza. Pan Sikora wiedział, co to znaczy.

— Ja wyszedłem pieszo do buraków. Te konie muszą iść po doktora. W razie czego jestem u siebie. Pani rób swoje: zajęcie bezowocne, dziedzica niema, rozumie pani? — komenderował, opuszczając pośpiesznie pokój.

— Oj rozumiem — stęknęła panna Emma, sięgając po flaszkę.

Pan Sikora rozparł się w fotelu klubowym (spadek po wuju proboszczu) i sięgnął po najnowszą powieść Marceżyńskiego, pożyczoną od pana Sardacza. Nie zdążył jednak przeczytać strony, gdy zapukała kasjerka.

— Panie dyrektorze, przecież to dziś licytacja traktora!

Piorun z jasnego nieba!

— Co, dziś? To czemu mi pani nie przypomniata?

— Jakto, przecież wczoraj jeszcze mówiłam, pan Sardacek świadczył! Nie był czas na spory. Należało działać. Jagusia zaniósł do kasy przepyszną, prawdziwą arabską ka-

wę (tylko dla komorników!) i stos „Junczek z obłożeniem”. Stach pojechał w pole, wioząc instrukcje dla praktykanta; rozdano też rozkazy w podwórzu. Potem nastąpiła cisza i pan Sikora wrócił do ulubionej lektury. Komornik sądowy, pan Szypulka, zjadł i wypił wszystko, co mu podano, podziękował, wreszcie oświadczył, że bardzo mu przykro, ale musi przystąpić do czynności. Traktor, jak wiadomo, zajęty został na sąsiednim folwarku, w Śmardzewicach; tam więc przeznaczona jest licytacja, tam czekają przedstawiciele firmy Zjednoczone Grajarki oraz ewentualni nabywcy, taniżatem należy przewieźć maszynę. Licytacja wyznaczona na 10-tą, niema chwili do stracenia.

Teraz jednak wynikła cała seria trudności. Kasjerka chciała wręczyć komornikowi klucz od szopy, w której mieścił się traktor. Tymczasem okazało się, że klucz, który zawsze wisił o tu, na tym gwoździu, znikł, poprostu ulotnił się jak kamfora. Kto to śmiał uczynić? — denerwuje się panna Emma. — Ach, to pan Sardacek; ci z „ciepłych krajów” zawsze wprowadzają zamieszanie. Posłano po praktykanta. Gdy nie nadchodził, komornik postanowił wezwać kowala do otwarcia drzwi. Ale i kowala nie można było znaleźć. Poszedł samowolnie do domu. Cóż robić, ludzie niewypłaceni, nie można tak bardzo przestrzegać dyscypli-

*) Rzecz dzieje się w województwie poznańskim. Stąd w dialogach użyto wielu gromadzinów i wyrażeń prowincjonalnych.